№ 5. Warszawa, dnia (17) 29 Stycznia 1898 roku. Rok XL.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kop. 10.
Z przesyłką pocztową
Kwartalnie . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna № 26.
TELEFONU 106.

PRENUMERATA WYNOSI:
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2 Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi mar. 3 pf. 50.
Cena ogłoszeń: Wiersz petitu i szpalt. lub jego miejsce kop. 12. Nadesłane wiersz i szpaltowy garmontu kop. 50

WYBORY

w Warszawskiem Towarzyst. Dobroczynności.

Jedno z zeszłotygodniowych sprawozdań swoich rozpoczyna kronikarz „Wieku" sentencyą łacińską, która w dosłownem znaczeniu brzmi tak: „Obawiam się człowieka, który jedną tylko przeczytał książkę."

Przełożona dowolniej, a nadewszystko przystosowana do warunków dzisiejszego życia intellektualnego, sentencya ta daje się zdaniem kronikarza wyrazić w ten sposób: „Nie ma co mówić z człowiekiem, który jedną tylko gazetę czytuje."

Niechajże będzie tymczasem zgoda i na aforyzm, i na jego interpretacyę. Wychodzi się tu niby z zasady, że czytelnik jednego jakiegoś pisma, a tembardziej pisma przedstawiającego jakikolwiek kierunek skrajny, przejmuje się z konieczności więcej niżby należało opinjami jednego stronnictwa, grupy, a nie daj Boże koteryi—że rzadko bardzo zdobywa się na samodzielne poszukiwanie prawdy przyćmionej albo zgoła ukrytej poza tumanami zwykłych ludzkich niechęci, uprzedzeń i zawziętości.

Z tej też zasady wyszliśmy powstrzymując nieco sprawozdanie nasze o ostatnich wyborach w Towarzystwie Dobroczynności—o źródle przedwyborczej agitacyi, a nadewszystko o zapatrywaniach prasy warszawskiej na rezultat tych wyborów. Głosy pism codziennych nie przedstawiały różnic tak znowu charakterystycznych, iżby nam na nich samych ograniczyć się było wolno w sprawozdaniu naszem. Musieliśmy więc poczekać na relacye tygodniowych organów rozmaitych odcieni, aby czytelnik nasz mógł zaregestrować sobie i te zapatrywania, zanim będzie mógł wyrobić sobie sąd jakiś o słuszności podjętej agitacyi, i o doniosłości wywołanych przez nią zmian. Od siebie nie radzibyśmy dzisiaj nic dodawać do tych sprzeczności, w przekonaniu, że czytelnik sam może potrafi ztąd wydobyć dla siebie to, co jądro kwestyi stanowi, a jeśli nie potrafi... to niechaj już chyba raczy łaskawie poczekać, aż mu bliższe lub dalsze jutro za dzień wczorajszy odpowie.

„Prawda" w numerze 4 tym daje treściwy obraz żywego poruszenia, jakie na czas jakiś przed wyborami zapanowało w sferach intelligencyi miejskiej, mówi o niezgodzie, jaka od dosyć dawna ujawniła się między członkami zarządu a prezesem instytucyi, o samowolnem tego ostatniego traktowaniu spraw Towarzystwa, i przystępuje do charakterystki wyborczego ruchu. „Prawda" — powiada — że żywioły intelligentne zapragnęły postawić na czele instytucyi takich ludzi, któryby umożliwili prawidłową i energiczną działalnością swoją rozwój Towarzystwa zgodnie z ustawą i wymaganiami czasu, podczas gdy z drugiej strony stronnictwo konserwatywne obstawało przy utrzymaniu steru instytucyi w takich rękach, które ani myślą liczyć się z temi potrzebami, a natomiast rade są ograniczyć działalność swoją do tworzenia przytułków żebraczych, i traktowania dobroczynności jako rodzaju społecznej kruchty. Ztąd natężenie zabiegów z obu stron, ztąd walki zaostrzone tak dobrze za kulisami, jak i w samej sali obrad, a to wszystko na podstawie ujawnienia nadużyć i przekroczeń władzy, które przyznał w zupełności zarząd Towarzystwa, wypierając się solidarności z jego prezesem.

Po przedłużonych bezowocnych sporach w kwestyach formalnych, zdołała nareszcie opozycya doprowadzić do głosu adwokata Leszczyńskiego, który jak mówi „Prawda" w spokojnym wywodzie zobrazował i poddał sądowi zgromadzonych *samowolne, przeciwne ustawie* i *niezgodne* z *dobrem instytucyi* czyny prezesa. Nawiasem mówiąc ujawniły się zasadnicze różnice nawet w zapatrywaniach na to, kto głównie popiera i podtrzymuje Towarzystwo—ubodzy czy możni. Dosyć to istotnie ważny przedmiot sporu, który zdaniem naszem należycie ani na jedną, ani na drugą stronę dowodami poparty nie został. O ile się zdaje będzie to jednak rzecz do sprawdzenia od dzisiaj, gdyż jak wieść niesie wraz ze zmianą dotychczasowego prezydyum, usunęła się i znaczna liczba tych, którzy się za źródło materyalnej pomyślności instytucyi uważali. A zatem kto będzie żył—zobaczy. Tyle „Prawda."

„Głos" streszczając w tym samym prawie duchu pobudki agitacyi wyborczej, dodaje od siebie niektóre uwagi. Przedewszystkiem zaznacza nieco dobitniej to pismo, że stawiane Towarzystwu zarzuty tyczyły się bez wyjątku jego prezydyum, a bynajmniej nie jego zarządu, a nie przesądzając doniosłości zmiany zaszłej w osobie przewodniczącego instytucyi, tak się wyraża co do rezultatu: „Nie wiemy kim się okaże prezes Towarzystwa, wystarcza nam jednak zupełnie to przeświadczenie, iż świadoma siebie intelligencya nasza potrafiła wprowadzić swego przedstawiciela na jedno z najważniejszych stanowisk w życiu miejskiem. Dowodzi to, iż zaczynamy powoli oswajać się z tą myślą, jako na czele instytucyi niekoniecznie stać musi osobistość należąca do sfer arystokratycznych. Stając do urny w zwartym szeregu, głosując bez względu na osobiste upodobania albo urazy, wystawiła sobie nasza intelligencya miejska świadectwo dojrzałości społecznej i karności obywatelskiej.

A teraz posłuchajmy opinii obozu przeciwnego.

Ujawnia zapatrywania swoje „Rola" w artykule, którego tytuł sam odrazu odsłania nam bateryę usypane naprzeciw świeżo zdobytego szańca. Ten tytuł brzmi „Niby—zgromadzenie ogólne i niby—wybory" Wiemy tedy prawie, co usłyszeć mamy w dalszym ciągu. Oto próba:

Kto z ludzi bezstronnych i poważniejszych znalazł się na zebraniu, ten w niemałym

uczułby się kłopocie, gdyby mu kazano scharakteryzować to zgromadzenie. Nie było to bowiem wcale zebranie, mające obradować wspólnie nad dobrem instytucyi, ale spłynięcie na salę posiedzeń żywiołów nie mających żadnej wspólności ani z instytucyą, ani z zasadami, dzięki którym ona powstała. Owszem zgromadzenie odznaczało się przedewszystkiem tem, że było w całem znaczeniu tego słowa antichrześcijańskiem. Żaden żyd nie wchodził na salę sam, ale wprowadzał za sobą cztery albo pięć żydówek, i tego żydowstwa samego zgromadziło się tam około dwustu. W znacznej również gromadzie przybyły na posiedzenie feministki warszawskie (!) i rozmaite żywioły wolnomyślne, a wszystko to przy miotaniu obelg wrzeszczało i tupało tak, że żaden głos ze strony chrześcian przedrzeć się nie mógł.

Ponieważ z tej strony nie przedstawiło charakteru ogólnego zebrania z dnia 15 Stycznia żadne pismo warszawskie, więc oskarża „Rola“ wszystkie wogóle pisma, że ukryły przed czytelnikami swoimi prawdę, a niektóre z nich pomieściły nawet apologię tego niby-zgromadzenia i tych niby-wyborów. Utyskując nad tem, że tyle nam już splugawił judaizm niw naszego społecznego bytu, dziwi się „Rola“ jak śmiała klika żydowska targnąć się na godło takie, jak „Res sacra miser,“ bo przecie od godła takiego klice żydowskiej zasię.

O sprowadzanie tej kliki na salę obrad oskarża „Rola“ pp: Suligowskiego i Schellera, którzy wspólnie z przewodniczącym w wydziale czytelni bezpłatnych, p. Leszczyńskim, wspólnie z tymi obywatelami mojżeszowymi i z temi feministkami, postanowili nie dopuścić do zarządu ani jednego księdza i ani jednego z katolików, zaleconych do zarządu przez stronników dotychczasowego porządku rzeczy. To wszystko tedy dokonało się za sprawą „Nalewek“ do współki z warszawskiemi feministkami.

Co się tyczy przyczyn obalenia dotychczasowego prezesa Towarzystwa Dobroczynności, to stało się to jedynie z powodu, że nie chciał on być prezesem malowanym, a nadto że były prezes, który jest katolikiem nietylko z imienia ale i z ducha, chciał też w duchu chrześcijańskim prowadzić instytucyę, i jako taki okazał się dla zarządu niedogodnym.

Horoskop, jaki stawia „Rola“ biegowi spraw Towarzystwa Dobroczynności na przyszłość, nie jest wcale z tych, któreby mogły dodać otuchy ludziom, pokładającym zaufanie we wskazaniach udzielanych przez to pismo. Jak mogą być prowadzone sprawy przez to prezydyum, które wybrał sobie zarząd — powiada „Rola“ — dość jest powiedzieć, że trzech starców wchodzących w jego skład, liczy razem wziąwszy 234 lat, a to ma być właśnie prezydyum, które dla zarządu będzie najpożądańszem, jak konkluduje „Rola“ swoje przedstawienia stanu rzeczy.

Więcej już pism przytaczać nie będziemy, bo tak rozumiemy, że tego, co powtórzyliśmy dotąd za innymi, do scharakteryzowania wielkiej różnorodności w zapatrywaniach naszej prasy, wystarczyć powinno zupełnie. Czy będzie mógł z tego materyału czytelnik wyrobić sobie pewne wyobrażenie o wysokim stopniu zainteresowania się publiczności sprawą wyborów, trudno nam przewidzieć, a jeszcze trudniej domyślić się, komu na mocy przytoczonych danych, większość czytelników skłonną będzie przyznać słuszność, a przynajmniej większą część słuszności. Co do argumentów i dowodów stron, zmuszeni jesteśmy wyznać, że z dowodami na wyborach wystąpiło tylko oskarżenie. Strona zaś obżałowana nie sformułowała swego usprawiedliwienia w sposób dla ogółu zrozumiały, ani podczas obrad, ani po nich.

Nie mamy też przed sobą żadnych pozytywnych danych, mogących potwierdzić słuszność zarzutu, który „Rola“ stawia agitacyi wyborczej co do jej antichrześcijańskiego charakteru, tak jak niesłyszeliśmy zkądinąd nic o wtargnięciu na salę obrad owych dwustu semitek i zastępu całego feministek, gwoli obalenia poprzedniego prezydyum. Nadmienimy nawet, że o istnieniu tej ostatniej grupy w naszem mieście nie słyszeliśmy dotąd nic, ale to nic zgoła, można sobie tedy wystawić zdziwienie nasze, gdy nas druk poucza o istnieniu takiej hydry stugłowej.

Może wyprostuje sobie ostatecznie czytelnik wątpliwości swoje gdy mu wymienimy rezultat wyborów — może go nazwiska pouczą cokolwiek więcej, niż to wszystko razem, co powiedzieliśmy dotąd. A zatem:

Obrany został prezesem Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności były dziekan Uniwersytetu Waszawskiego, profesor doktór Włodzimierz Brodowski 405 głosami przeciwko poprzedniemu prezesowi ks. Michałowi Radziwiłłowi (285 głosów).

Obrano wiceprezesem p. Szymona Krzeczkowskiego 358 głosami przeciw Juliuszowi hr. Ostrowskiemu gł. 290.

Sekretarzem wyszedł z urny wyborczej p. Aleksander Jabłoński większością swoich 388 głosów przeciwko 160, które pozyskał przeciwnik p. Hałaczkiewicz.

Do zarządu wybrano pp. Seweryna Lutostańskiego g. 657, Aleksandra Makowieckiego g. 642, Antoniego Jasińskiego g. 639, Jana Pawła Łuszczewskiego gł. 630, d-ra Józefa Wszebora g. 617, Adama Gagatnickiego gł. 594, Mathiasa Bersona g. 546, Adolfa Suligowskiego g. 440, Stanisława Pfeiffra g. 435, Oskara Schellera g. 403, Edwarda Czajkowskiego g. 391, dr. Konrada Dobrskiego g. 380.

Powiedzcież teraz czytelniczki, czy gdyby nie te 15 nazwisk, które wam powiedzieliśmy na końcu, a które naprawdę uczą was czegoś — powiedzcież, czy z zestawienia tego, co wam mówią owe trzy pisma tygodniowe różnej barwy, domyślilibyście się istotnego stanu rzeczy. Pokazuje się tedy, że nietylko od tego, który jedno pismo czytuje, ale i od takiego, który przeczytał trzy, nie wiele jeszcze u nas dowiedzieć się można. Pessymista jaki gotówby nawet powiedzieć, że im więcej czytasz, tem mniej wiesz.

A. S.

MARYA RODZIEWICZÓWNA.

KĄDZIEL.

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg).

Blada, drobniutka, sucha a uśmiechnięta wyglądała w trumnie; aż dziw był, że tak bezczynnie założyła ręce i tak długo odpoczywa. O śmierci jej nie było pochwalnych nekrologów w pismach, i mało kto poza granicą Rudy dowiedział się, że umarła, bo mało kto pamiętał, że żyła.

Za to we dworze i po wsiach okolicznych powstał zgiełk i lament. Służba dworska i chłopi napełniali bezustanku — dzień i noc pokój, gdzie ustawiono katafalk. Kobiety zawodziły i szlochały, pokazywały ją dzieciom, przypominały jej starania, dziękowały tym zwłokom za dobrodziejstwa żywej.

Pani Taida zmartwiała, surowa i twarda w bólu, słuchała tych mów i płaczu, powtarzając w duchu:

— Teraz zostałam sama, sama, po kres żywota.

Depesze poszły do chłopców i do siostry zamężnej; trzeciego dnia po śmierci zjechali się wszyscy.

Chłopcy szlochali jak dzieci, a gdy ją do trumny złożono, zapłakała wreszcie i pani Taida.

Cmentarz leżał o parę wiorst, w piaskach— na wóz chciano trumnę złożyć, ale wtedy z tłumu szarego chłopstwa, rzuciło się kilku, potem cała gromada do trumny tej.

— Poniesiemy, nie damy wieźć! — poszedł pomruk — święta była—matka nasza była — poniesiemy!

Miała tedy ciocia Dysia kondukt, jaki spotyka tylko bardzo maluczkich, albo bardzo wielkich.

Gdy ją już zostawiono samą wsród krzyżów, a żywi wrócili do dworu, starsza siostra natarła na panią Taidę.

— Tak sama zostać nie możesz. Musisz sobie kogoś wziąść do towarzystwa i do pomocy, bo i rady sama nie dasz, i zagryziesz się w samotności.

— Któż mi ją potrafi zastąpić — odparła pani Taida.

— No, to się wie, ale trzeba rady szukać. Mnie się zdaje, że mam dla ciebie osobę stosowną. Marcińska, krewna mego męża, umarła — mąż się żeni, zostało po niej dwie córki. Weź starszą — dobra dziewczyna, robotę trochę zna, bo była u Rosowskich, swoich krewnych przy kobiecem gospodarstwie, resztę sama douczyż!

— To ta, którą spotkałem u cioci na Wielkanoc? — wtrącił Włodzio!

— Ta sama. Nieprawda — dobrze matce radzę?

— Nie wiem! — mruknął wymijająco Włodzio.

— Ja sama czuję, że rady wszystkiemu nie dam! — rzekła pani Taida — i jeśli ko-

go brać, to lepiej znajomą i powinowatą, niż zupełnie obcą. Daj mi jej adres — napiszę.

— Poco? Ja ci ją przyślę, przecie to od nas o miedzę.

— Tylkoż ją uprzedź, że roboty wiele, a rozrywek żadnych.

— Bardzo pracowita, nie lękaj się. Będziesz miała pociechę!

— Ano, to dobrze. Mnie byle te trzy lata pomogła, zanim Kazio nauk nie skończy.

— Pewnie! Ożenimy go wtedy i odpoczniesz.

Kazio podniósł na ciotkę oczy, w których się bunt malował, ale nie zaprzeczył. Był to skryty i zacięty chłopak, ale nieprzyparty do muru, zdania nigdy nie wygłaszał.

Postanowiono tedy sprowadzić pannę Wandę Marcińską, i Ruda opustoszała. Wyjechała siostra z mężem, i Włodzio do Kijowa, tylko Kazia zatrzymała pani Taida sobie do pomocy na te dni kilka, zanim panna nie przyjedzie.

Chłopak zajął się gospodarstwem rolnem, pani Taida wzięła na się czynności cioci Dysi.

Pewnego wieczora poczta przyniosła list do Kazia z marką francuzką i stemplem paryskim.

— Kto ztamtąd pisze do ciebie? — zagadnęła matka.

— Stasia Ozierska! — odparł jako rzecz zwykłą.

— Jakto, korespondujesz z tą awanturnicą? Co to znaczy? Daj mi ten list do przeczytania.

Chłopak poczerwieniał, zawahał się—wreszcie z błyskiem gniewu na twarzy list podał.

Pani Taida opamiętała się także.

— Nie otworzę go, jeśli nie chcesz! Jesteś dorosły, możesz mieć swoje stosunki i tajemnice. Jeśli to brudy — czytać nie będę.

— Stasia Ozierska brudu nigdy nie popełni! — ujął się gorąco. — Nie dlatego się żachnął, ale jeśli posiadam czyje zaufanie, nie mogę go zdradzać, nawet matce.

— To racya. Zabierz ten list — należy tylko do ciebie.

Chłopak list schował do kieszeni, zapanowało milczenie. Wtedy jasny obraz cioci Dysi stanął w myśli pani Taidy — i ten legat nabożeństwa „za biedną Stasię,” który spełniała skrupulatnie, i gniew jej a oburzenie całkiem zgasło.

— Więc wiesz o jej losach! — rzekła z westchnieniem. — Gdzież się obraca, jak sobie radzi? Powiedzieć możesz, nikomu nie powtórzę, jeśli nie chcesz.

— Chodzi na medycynę w Paryżu!

— Bardzo potrzebne! Zakocha się w pierwszym, lepszym koledze i wyjdzie za mąż! Brednie!

— Nie myślę. Raczej zapracuje się nad siły, i z nędzy i głodu skończy na suchoty!— rzekł poważnie Kazio.

— Bardzo jej ciężko? Skarży ci się?

— O tem nawet nie wzmiankuje, i pewnie nigdy się nie poskarży, ale tego łatwo się domyśleć.

— Ma, czego pragnęła! Ale zkądże ta korespondencya między wami. Mam nadzieję, że jej nie pochwalasz?

— Ona mnie nigdy się nie radziła, ani usłuchałaby krytyki. Nie korespondujemy nawet we właściwem tego słowa znaczeniu. Miałem dwa listy, ten trzeci. Tak sobie — tyleśmy lat razem uczyli się i bawili. Pozostało koleżeństwo.

Pani Taida pochyliła głowę nad robotą, on czytał gazetę — milczeli.

Jesienny wicher spędzał resztki liści i wył wokoło domu, mimowoli przychodziła myśl o głodnych i ubogich, o wędrowcach i zbłąkanych.

— Może ona pisze do ciebie o pomoc. To przecie zgroza takie życie bez chleba i grosza! Sama je wybrała, słusznie cierpi, ale to jej grozi zatratą. Przeczytaj no list!

Kazio rozdarł kopertę i przebiegł kartkę oczami. Kilka wierszy było zaledwie, ale on je odczytał raz i drugi, coraz bardziej zdziwiony.

— To szczególne! — szepnął podając list matce.

Zawierał te tylko słowa:

„Czy ciocia Dysia umarła? Zaraz mi odpisz. Pewnie umarła, bo onegdaj, w Sobotę w nocy była u mnie. Odrabiałam kursa — nad ranem to było. Marka Wolska, z którą mieszkam, dowodzi, żem musiała zasnąć nad stołem. Ale to ona chrapała już od paru godzin na kanapce. Ja czytałam — zmęczona byłam jak dzwonek sklepowy, to prawda, alem czytała. Było mi trochę czerwono w oczach, może miałam przywidzenie, alem widziała doskonale ciocię Dysię, naprzeciw siebie, przy stole. Którędy weszła, nie wiem— siedziałam jak bałwan, anim się przeraziła, anim się poruszyła. Ciocia Dysia popatrzała po ścianach, jakby czego szukała, potem pokazała na moją głowę, jakby pytała, czy boli Skinęłam, że tak. Wtedy mi podała jakiś gruby zeszyt, na którym było napisane: „Zielnik roślin lekarskich,” uśmiechnęła się, kiwnęła mi głową i wyszła. Zerwałam się, zbudziłam Markę i opowiedziałam. Zburczała mnie, wyśmiała, i nazajutrz roztrąbiła wszystkim. Drwią ze mnie, ale nie wybije mi nikt z głowy, że u was stało się jakieś nieszczęście, chyba ty zaprzeczysz. Jeśli tak jest, to snać ciocia Dysia mnie zapamiętała dobrze! Odpisz zaraz!“

Pani Taida popatrzała na syna.

— To szczególne! W Sobotę właśnie! — szepnęła. — Ten zielnik trzeba jej odesłać!— dodała po chwili.

Przyniosła gruby zeszyt. Nagłówek był ten sam, a wewnątrz na każdej kartce zasuszona roślina — historya jej, opis własności, nawet kilka przykładów zastosowania w wiejskiej praktyce cioci Dysi.

Całą resztę wieczoru Kazio wertował zielnik, a pani Taida rozmyślała i wahała się.

Wreszcie gdy się rozchodzili, rzekła do syna:

— Odpisz jej, a ja mam dużą kopertę na zielnik. Jutro odeszlemy na pocztę.

Potem uklękła do pacierzy wieczornych.

(Dalszy ciąg nastąpi).

„Wewnętrzne dzieje Polski”

przez T. Korzona.

TOM IV.

Sprawozdanie.

(Dokończenie.)

Przechodząc do historyi władz administracyjnych i wojskowych, autor nie może oprzeć się uczuciu pewnego niesmaku wobec rozprzężenia, jakiemu uległa machina rządowa za czasów saskich. Zupełny niemal zanik administracyi tak cywilnej, jak wojskowej oto najważniejszy symptom osławionego anarchizmu tej epoki. „Wszystkie urzędy wojskowe — pisze Korzon — były zastosowane do pospolitego ruszenia stanu rycerskiego, które jak wiadomo nie zbierało się od lat stu blizko. Utrzymywały się tylko resztki wojska stałego dwóch autoramentów, pod wszechwładną i wszechniedołężną komendą hetmanów, kilka małych biur przy ministrach, garstka służby skarbowej, chorągiew węgierska na posługach u marszałka wielkiego, dużo oficerów i trochę gemeinów do urządzania parad, gwardya królewska — oto i cała machina rządowa, jaka pozostała w Polsce w dniu śmierci Augusta III-go.”

Obraz straszny! I istotnie, tu już nie reformować, ale trzeba było budować, zakładać, urządzać prawie od pierwszych elementów.

Reforma, a właściwie rewolucya Czartoryskich, powołała do życia cztery t. zw. jurysdykcye w podwójnych kompletach: dla Korony i dla W. Ks. Litewskiego.

Jurysdykcye te — to: Komisya Skarbowa, Komisya Wojskowa, Sądy Zadworne Asesorskie i Jurysdykcya Marszałkowska. Istniała nadto t. zw. dyrekcya poczt, zostająca w wyłącznej dyspozycyi króla.

Wszystkie te władze jakkolwiek nie funkcyonowały w sposób idealny, były jednakże w odniesieniu do czasów saskich olbrzymiem dziełem postępu. Stanowiły bądź co bądź organizacyę wewnętrzną państwa, której brakło za Sasów.

Historyk nasz przechodzi szczegółowo dzieje tych władz w okresie pierwszym, drugim i trzecim panowania Poniatowskiego.

Podążmy za nim, by choć ogólnym rzutem oka objąć cały obszar ich działalności.

Komisya skarbowa koronna, ustanowiona na sejmie konwokacyjnym w r. 1764, w r. 1775 przechodzi pod władzę departamentu skarbowego Rady Nieustającej, z którym pozostaje w stosunku pewnej niechęci. W r. 1791 obydwie komisye Koronna i Litewska złączone razem otrzymują nazwę: komisyi Obojga Narodów. W tym najliczniejszym składzie swoim i najrozleglejszym zakresie działania komisya trwa jednak tylko $7^1/_2$ miesięcy. Targowica zdobywszy władzę „rozerwała zjednoczenie skarbów i wyprawiła Litwinów do Grodna na dawne miejsce urzędowania Komisyi Skarbowej W. X. Litewskiego.”

Komisyi Skarbowej Koronnej wystawia Korzon o wiele chlubniejsze świadectwo niż Litewskiej. Twierdzi i twierdzenia swe licznymi dowodami popiera, że instytucya skarbowa w Koronie nie małe usługi oddała społeczeństwu tak we właściwym sobie zakresie działania, jak i poza nim. Przekraczała go bowiem chętnie, ile razy chodziło o pracę dla dobra publicznego. Co do sumienności w spełnianiu przyjętych na ziebie obowiązków, rzetelności w rachunkach, która jest rzeczą najważniejszą, gdy chodzi o wydanie sądu o tego rodzaju instytucyi — nie można stawiać komisyi żadnych poważnych w tym względzie zarzutów. Pominąć musimy szczegółowe i jak zwykle bezstronne badanie, jakie przeprowadza Korzon nad wydatniejszemi osobistościami, należącymi do składu komisyi. Zwierzchnik jej, podskarbi Wessel, usuwający się zupełnie od jej prac, następca jego Kossowski, komisarze: Moszczeński, Twardowski, uczony Łojko, zły obywatel, ale gorliwy i pożyteczny urzędnik hr. Moszyński, wyprowadzeni są przed sąd historyi. Ostatecznie streszczając spostrzeżenia, poczynione nad okresem pierwszym działalności komisyi, „przekonywamy się - mówi historyk—że służba skarbowa przy wybitnej rzetelności w rachunkach pieniężnych, zaczynała się wdrażać do obowiązków prawidłowego urzędowania, że władza centralna skarbu dokonała w pierwszych latach kilku dzieł i urządzeń poważnych, że jakkolwiek wśród przewodniczących napróżno szukalibyśmy ludzi o wyższych zaletach charakteru, lub niepowszednich zdolnościach, to jednakże zarzuty nieuczciwości lub złej wiary nie mogą przeciw nim być skierowane.” Urobiła się też pewna wprawa techniczna, pewna tradycya korporacyjna, pewien ład w prowadzeniu interesów. Zaburzenia polityczne nie pozwalały niestety rozwijać się tym dodatnim pierwiastkom.

W okresie drugim władała Komisya pod kierunkiem departamentu Komisyi Nieustającej, wykonawczyni uległej i ślepej rozporządzeniu Stackelberga. Podskarbim W. K. był w tym czasie osławiony Adam Łodzia książę Poniński. „Z góry możnaby powziąść niekorzystne wyobrażenie o magistraturze, na czele której stał utracyusz tak zuchwały, cyniczny i zręczny” — pisze Korzon. Przeciw nikczemnemu człowiekowi temu i jego przyjaciołom od początku zapanowało w komisyi usposobienie opozycyjne. „Żadnych oznak uszanowania w usłużności względem swego prezesa; przeciwnie, niejednokrotnie ujawniała się niechęć, nieufność, niemal pogarda. A gdy sejm czteroletni wydał na zbrodniarza wyrok hańbiący, Komisya wysłała skwapliwie oficyalistom swym rozkaz, niekoniecznie z obowiązków jej urzędu wypływający, aby „Adama byWszego ks. Ponińskiego imali.”

Nie miało więc poddanie komisyi pod władzę Rady Nieustającej tak dalece szkodliwego wpływu. Przeciwnie, liczba oficyalistów zwiększyła się, pracy przybywało z każdym rokiem. Prowadzenie ksiąg i korespondencya staje się dokładniejszą. Jednem słowem działalność cała przedstawia się ku końcowi okresu dużo korzystniej niż w początkach.

Komisya Skarbu Litewska, założona o kilka miesięcy później od Koronnej inny zupełnie przedstawia obraz. Nieład i demoralizacya, oto główne jego cechy. Sprawcą złego motorem przeróżnych nadużyć był podskarbi Tyzenhauz. Osobistość ta, o której najrozmaitsze wydawano sądy, a w ostatnich już nawet czasach bardzo pochlebne, w oczach historyka naszego zasługuje na bezwzwzględne potępienie. Sąd jego jakkolwiek surowy każdemu człowiekowi rozsądnemu i mającemu poczucie słuszności trafić musi do przekonania.

Mniej miejsca poświęca Komisyom wojskowym.

Przygnębiające wrażenie robi opis upadku, w jakim pogrążoną była wojskowość za czasów saskich. Ten arsenał, w którym znajdowało się kilka popsutych moździeży, trochę starego bezużytecznego żelaztwa, ta ludwisarnia leżąca w gruzach, ta szczupła ilość żołnierstwa, nieład, niekarność do rozpaczliwych przewidywań musiały prowadzać każdego choć trochę myślącego człowieka.

Nie rozwinięto niestety dostatecznej energii przy reformie tych opłakanych stosunków. Półśrodkami ratował się naród w pierwszym okresie panowania Stanisława Augusta. Odnowienie ludwisarni, założenie korpusu kadetów, były to rzeczy drobne wobec najważniejszej: braku żołnierzy.

Okres drugi, w którym Branicki wystarał się w Petersburgu o przywrócenie sobie niemal w całej rozciągłości dawnej władzy hetmańskiej, a ograniczenie działań komisyi do zarządu kasą i sądu nad wojskowymi, mniej jeszcze sprzyjał naprawie organizacyi wojskowej niż poprzedni. Cała armia Rzeczypospolitej wraz z litewską liczyła 11,000 ludzi. Są to cyfry okropne! Okropne też są szczegóły z prywatnego życia jej przywódców. Ks. Czartoryski, generał-leitnant komenderujący dywizyą I wojsk litewskich, „podpisywał odpowiedzi na raporty i listy podczas fryzowania; adjutant jego Niemcewicz jął się właśnie tłómaczyć „Henryadę” Woltera — p. Chomiński, dowódca brygady petyhorskiej i pasibrzuch doskonały, karmił kurczęta gałeczkami chleba w mleku gotowanemi i t. p. Sam hetman wielki litewski Ogiński więcej zajmował się muzyką, niż armią. Fortece, których Polska miała naonczas kilka, znajdowały się w bardzo smutnym stanie. Najważniejsza z nich: Kamieniec, posiadała tradycyjny urok niezwyciężoności. W gruncie rzeczy jednak była ruiną bardzo łatwą do zdobycia.

Najmocniej zajmujące są rozdziały, poświęcone jurysdykcyi marszałkowskiej i departamentowi policyi.

Bardzo krótko i pobieżnie załatwia się autor z Komisyą Edukacyi Narodowej, o której właśnie radzibyśmy zasięgnąć jaknajwięcej szczegółowych wiadomości. Zapewne autor powróci jeszcze do tego przedmiotu.

H. C.

Muzyka w Goplanie.

(Dokończenie).

A więc nie po recitatiwie, lecz po małym duecie Chochlika i Skierki, po chórze sopranów i altów, Goplana w smutku i zamyśleniu wzywa skrzydlatych powierników, by opowiedzieć im dzieje miłości swojej.

> Gdy jeziora toń
> Ścięła się lodem, gdy zamilkły pieśni
> W głębinach wodnych, w zwierciadlanej *cieśni* (!)
> Śniłam o szczęściu, ach, tęskniłam doń!..

Tak śpiewa Goplana na tle akompaniamentu orkiestralnego sekst dziewięcioósemkowych; śpiewa zrazu rzewnie, gdyż takiemi są uczucia jej dla ujrzanego nagle w głębi wód zjawiska ziemskiego, dla kochanego przez Balladynę pięknego parobczaka, Grabca, którego dreszczem trwogi przejmuje „natrętna ta wodnica.“

Śpiew królowej wodnych głębin po trzech taktach orkiestralnej przygrywki zmienia nagle rytm i tempo.

> Wtem z grzmotem pęka lód!
> Jezioro się rozpada
> Drży mych pałaców zrąb
> Tam w górze krzyk rozpaczy,
> Po wodach coś majaczy,
> To człowiek wpada w głąb!

Tremolando orkiestry, namiętne, sięgające aż do górnego *a* okrzyki śpiewającej bohaterki zdradzają przerażenie, trwogę, głuche zdziwienie.

> Ale oto chwyta go, ciśnie do łona

I tu znowu głos jej brzmi wolniej, jakby z pewnem skupieniem.

> On zimny, martwy, on kona!
> Puszczam go, prąd go zabiera!

Gwałtowne przyśpieszenie i melodyi, i akompaniamentu orkiestralnego.

> Tak piękny, młody! Z pod powiek zasłony
> Błyszczał promiennych spojrzeń blask przyćmiony

Chciała go zatrzymać, przytulić do łona, lecz zniknął, uratowany przez czyjąś zbawczą dłoń, a ona — ona została sama, smutna, udręczona, tęskni doń i dlatego pieśń jej płynie znowu powolnem, rozmarzonem tempem, któremu nadaje ruch i życie tylko staccato ósemek orkiestry, wyrażających jakby skrzydlate myśli Chochlika i Skierki, już gotowych do biegu, do kapryśnych, niesfornych czynów o wielkiej i niezgłębionej sile przeznaczenia.

Arya kończy się zmienioną cokolwiek rytmicznie najpierwszą zwrotką; powtórzyć ją, wyśpiewać dokładnie po parokrotnem nawet usłyszeniu trudno, ale pozostaje w duszy, jako skończony, psychologicznie prawdziwy, muzycznie piękny i głęboki obraz uczuć istoty, która marzy, kocha, zdobywa i traci nagle przedmiot ubóstwienia swego.

Czy można zarzucić jej brak ciągłości, dlatego, że względnie do wrażeń oddawanych, zmienia kilkakrotnie rytm, tempo i tonacyę?

Cobyśmy musieli powiedzieć w takim razie o uwielbianych ogólnie, o granych przez wszystkie kataryнки, o śpiewanych przez wszystkie tenory i soprany aryach z „Żydówki“ (Rachelo, kiedy pan...) i „Faworyty“ (O mój Fernandzie...), w których smętny liryzm ni ztąd ni zowąd, brutalnie dla ucha

i prawie bez usprawiedliwienia logiki przechodzi w rytmikę niemal taneczną, polonezową?

Melodyę w pieśniach Żeleńskiego zrozumieć i odczuć odrazu może tylko słuch muzycz nie wyrobiony, dusza muzycznie wykształcona, dyktuje ją bowiem praca skupionej refleksyi, niepozwalająca na omyłki.

Z pierwszej zwrotki prześlicznej, rzewnej piosenki „Za jaskółeczką ciągną moje oczy,“ poznajemy w Kirkorze smętnego liryka, wbrew intencyom Słowackiego, utrzymanego przez librecistę w charakterze tym aż do ostatniej sceny, kiedy po raz pierwszy budzi się w nim gniew rycerza, i kiedy z drżeniem orlich skrzydeł przy akompaniamencie głośnego tremolanda orkiestry, woła jedną sześciokrotnie powtórzoną nutą: „Zdejm przepaskę, żono!”

Pierwsze odezwanie się Balladyny, odpowiedź na pytanie Kirkora: „Co mi przyrzekasz?” zdradza tę głębię szałów i uniesień duszy namiętnej, której przeznaczeniem zginąć samej i zdruzgotać egoizmem, pychą, „żółtą” zawiścią swoją byt wszystkich otaczających ją istot.

Alina aż do ostatniej nuty utrzymaną jest w charakterze naiwnego, lecz mimo to głębokiego liryzmu dziewczęcia, w którem znienacka rozbudziły się płomienie miłości dla skrzydlatego rycerza o ustach koralowych i oczach pełnych czaru.

Kostryn, matka-wdowa, nawet skrzydlaty Chochlik i Skierka są *sobą* w każdem zaatakowaniu tonu. Nie można zatem stawiać Żeleńskiemu zarzutu nieokreślania muzyką nastroju temperamentu osób działających.

W „Otellu“ Verdiego, we wszystkich dramatach muzycznych Wagnera, jeden dany motyw orkiestralny, zwiastuje zwykle nadejście na scenę bohaterów głównych sztuki, skupiając w sobie zarazem główny ton ich usposobienia; w Goplanie takim stałym motywem, powtarzającym się kilkakrotnie w ciągu najdramatyczniejszych momentów, jest jedynie ósemka Grabca. Ona pada na usta Balladyny w chwili strasznego oszczerstwa, rzuconego przed matką na siostrę, która jakoby miała uciec z kochankiem; ona, jak uśmiech szyderczy przewija się zlekka w akompaniamencie orkiestry, podczas burzy w ostatnim akcie, kiedy jasna postać Goplany na tle chmur ołowianych, gotuje śmierć kłamliwym ustom siostrobójczyni. Poza tem niema prawie wyraźnych stałych motywów, ale czy należy poczytać to za błąd Żeleńskiemu? Czy obowiązkiem jego było pisać koniecznie tak, jak inni pisali?

Scena zamiany Grabca w wierzbę wypadła cokolwiek niedołężnie, nie dociągnięta do ogólnego nastroju opery, jak to zresztą zaznaczył już z lekka p. A. S. w poprzednim numerze, wina w tem poniekąd i wystawy.

Reżyserya, nie szczędząc starań i kosztów na urocze odtworzenie Gopła w pierwszym akcie, na łudzący obraz burzy w ostatnim, tu poskąpiła nam bogactwa faunów, satyrów leśnych i gnomów, które powinny zapełnić scenę całą i zasłonić sobą Grabca tak, aby zniknął, niewidzialny dla oczów widzów. Kilka żabek, paru zajączków, nie wiedzących dobrze, co robić ze sobą, skaczących nieśmiało, lękliwie dokoła przerażonego parobczaka, to tylko parodya sceny, której alegorya winna bądź co bądź przejąć nas lekkim dreszczem grozy.

Arcydzieło Żeleńskiego wzbogaci estrady koncertowe kilkoma ślicznemi aryami: Goplany — „Gdy jeziora toń...” Aliny—„Pełno malin, jakie różowe...“, Balladyny — „Com ja zrobiła?“, Kirkora — „Za jaskółeczką ciągną moje oczy...“ i t. d., paroma duetami, jak np. oryginalny walc Goplany w pierwszym akcie z oberkowym wtórem Grabca, wreszcie kwartetami i kwintetami głosowymi tak wielkiej wartości, że chyba na zawsze już pozostaną w literaturze muzycznej, jako wytwory mistrzowstwa formy, pomysłowości i kunsztu kontrapunktycznego. Popisom orkiestralnym dostarczy pola kilka pięknych przegrywek, z których każda stanowi całość odrębną. Nie wszystkie, na drugiem przynajmniej przedstawieniu, były wykonane wzorowo; dziś już prawdopodobnie jednak dzielna batuta p. Trombini'ego zdołała wygładzić pewne drobne usterki.

Jak śpiewali artyści?

Ogółem dobrze; z widocznem staraniem i sumiennością. Prześliczny, pełny głos panny Korolewiczówny nie zachwiał się ani razu, mimo niebezpieczeństwa partycyi, utrzymanej na samych prawie wysokich tonach. Utalentowana ta młodziutka artystka śpiewała tak, jak zapewne pragnął Żeleński, by śpiewała Goplana — z wdziękiem i rzewnem uczuciem. Pannie Strassernównie przy świetnej grze, znakomitem zrozumieniu intencyi kompozytora, przy ognistym, porywającym temperamencie i wielkiej inteligencyi, brak spiżowego dźwięku głosu, jakim winna przemawiać Balladyna, by szarpać i wstrząsać nerwami słuchaczy. Grabiec i grał, i śpiewał dobrze trudną swą rolę. Kirkor był nawskróś lirykiem. Matka wzruszała do głębi. W kwartetach i kwintetach trzymano się wzorowo.

Cecylia Walewska.

ODKRYCIE.

Epizod z naszej epoki.

(Ciąg dalszy).

Na dole dopiero spogląda na zegarek i ze zdumieniem spostrzega, że blizko trzy godziny spędziła na tem poddaszu. Nachmurzona jest wyraźnie piękna panna, bo ją zraził pod koniec chłód i rezerwa starca, a głównie to postawienie się z jego strony na stopie pewnej wyższości, do której ona w obcowaniu z ludźmi nie nawykła dotąd. Czuje się jakgdyby upokorzoną, a nie radaby wyznać przed sobą że tak jest.

A ta reszta — ta reszta tajemnicza i taka zagadkowa — ta jego gmatwanina słów, której znaczenia ona nie domyśla się, te wykrzykniki jego... A ona potokiem tych urywanych zdań, tych niepojętych wspomnień jakichś, pozwoliła zburzyć sobie resztę spokoju ducha — owszem wsłuchiwała się w to, chwytała, jakgdyby ją kto przemocą przykuł do miejsca.

Ale jak mogła — jak mogła dopuścić do tego? Wszak ona przedewszystkiem nie po to wdrapała się na ten strych staromiejski żeby ktoś ośmielał się odgadywać jej myśli, wyprzedzać życzenia, pozwalać sobie na insynuacye?

— Sama winna jestem — mówi z gniewem do siebie p. Julia.—Zawsze gdy dojdę do czynu, bierną jestem i niezaradną jak dziecko. Trzeba było odrazu pokazać mu książkę i list, zapytać bez wstępów żadnych, czy to jest pismo jednej i tej samej ręki, a po jego odpowiedzi takiej lub innej, rzucić mu pieniądze za jego usługę i odejść sobie. A ja tak jakbym pensyonarką była, oczarowana, czy zahypnotyzowana, wpatrywałam się w tego astrologa i wsłuchiwała w jego brednie, a może jego szalbierstwa.

Tu niby błysk przelotny przychodzi jej na myśl, że to może owocem podszeptów Hanibala była ta komedya cała, i dopiero uprzytomnienie sobie, że przecież ten biedak wcale nie wiedział o co tutaj chodzi, przedstawiło jej to przypuszczenie ostatnie jako bezpodstawne zupełnie.

Jak widzimy, bardziej była zaniepokojoną, niż jej się wydawało, i nie tak znowu mało domyślała się z wyników dochodzenia tego człowieka, jak usiłowała sama wmówić w siebie. Pod wpływem tych myśli ani się spostrzegła jak przeszła ulicę Senatorską, Plac Teatralny i stanęła przed kratą Ogrodu Saskiego. Dzień był zimny, pochmurny, w ogrodzie pusto prawie zupełnie o tej godzinie, zapuściła się w jedną z ustronniejszych alei i usiadła na ławce, aby tę rozterkę duchową choć cokolwiek uspokoić.

Rozważa teraz z goryczą, jak to niekiedy najzwyczajniejszy pozornie krok wywołać może labirynt prawdziwy komplikacyj, i wpłynąć nawet na losy ludzkie w sposób prawdziwie niepojęty.

Od czego bo w gruncie rzeczy zaczęło się to wszystko?

Mówiono jej w towarzystwie o nowej książce jednego z głośnych belletrystów francuzkich, a mianowicie o jednej z drobnych prac jego, ukrytej w stosie pornografii jak perła wśród śmieci. Założenie i wynik sam utworu tak szczególnie przypadały do jej przekonań i tak wysławiane były przez czytających, że zamierzyła koniecznie poznać to, jak je nazywano powszechnie, małe arcydzieło. Zachodziły jednak pewne przeszkody. O książkę, jako całość nie byłaby powiedziała najzaufańszej nawet znajomej, bo ten dział literatury nie istniał dla niej wcale. Posłać do swego księgarza z żądaniem, znaczyło tyle, co odebrać następnie rachunek z wyszczególnieniem tytułów i nazwisk autorów, a to nazwisko samo obrażało poczucie godności kobiecej wedle jej przekonania. Wybrała tedy drogę, która jej się wydała najkrótszą i najprostszą. Posłała służącą dawszy jej pieniądze na abonament w czytelni, dołączywszy tytuł żądanej książki i fikcyjne jakieś nazwisko abonentki. Przypadek zrządził, że w jednej z czytelni nowość ta znalazła się na półkach.

Pierwsze otwarcie książki zatrzymało oddech w piersiach zdziwionej p. Julii.

Wiele bardzo marginesów pokrywały dopiski ołówkowe, w których ona od jednego rzutu oka spostrzegła to pismo zbyt charakterystyczne i zbyt dobrze znane sobie, aby narazie zbudzić się mogła nawet jaka wątpli-

wość co do tego, czyjej ono jest ręki. Wątpliwości przyjść miały dopiero później.

Tymczasem przeczytała jedną z tych uwag i ruszyła ramionami, przeczytała drugą i czoło jej zachmurzyło się a usta wykrzywił niesmak z odcieniem pogardy połączony, przejrzała jeszcze kilka podobnych, a przekonawszy się, że wszystkie są w jednym i tym samym duchu, odrzuciła książkę. Dwa dni nie zajrzała do niej, i przez te dwa dni nie opuściła swego pokoju.

Teraz przypomina sobie na tej ławce samotnej ogrodu całą walkę, jaką ze sobą stoczyć musiała, przypomina i te słowa, wymówione głośno i z determinacyą: „Lepiej teraz jak później," po których ze szczególną zawziętością jakąś zabrała się do przestudyowania i druku, i pomieszczonych obok niego dopisków. Pamięta też wrażenie, jakie jej pozostało potem—pamięta, że uczuła się o dziesięć jakieś lat starszą, i po raz pierwszy dopiero pokłóconą z życiem naprawdę.

Tam, gdzie się autor dopisków harmonizował z autorem książki, był on tylko pospolitym, małym, ot takim sobie zwyczajnym człowieczyną, których setki całe przeczuwała dokoła siebie, ale na których z wysokości nastroju swojego nie spoglądała nigdy. Co się zaś tyczy komentarzy, jakimi opatrzony był ten utwór, dla którego właśnie wzięła do ręki książkę, to były one dla niej stokroć przykrzejsze i niesłychanie utrudniały złagodzenie wyroku. Mniejsza czy wzlot autora książki był tam szczerym czy nieszczerym, mniejsza czy to był poryw ducha, czy kunszt artysty, uwagi tajemniczego czytelnika pozostawały tem samem, a ich cynizm wystawiał temu od kogo pochodziły, niezbite świadectwo deprawacyi jakiejś dziwacznej, właściwie jakiegoś zaniku pojęć podnioślejszej natury, o którego stopniu ona pojęcia nawet nie miała.

Któryż nareszcie z tych dwóch ludzi był prawdziwym? Czy ten którego znała, czy ten, który się tak nieopatrznie wyspowiadał w tych dopiskach swoich? A niepojęty przytem zupełnie był ów kaprys, pod wpływem którego wdał on się w tę studenckiej prawdziwie maniery pisaninę — tak jak niepojętym zbieg okoliczności, który jej włożył w rękę tę książkę. Z jednej strony wielka moc względów przemawiała przeciwko przypuszczeniu że autorem dopisków, które niby corpus delicti leżą jej na oczach w tej chwili był on; zachodziło oczywiste prawie, jej zdaniem, niepodobieństwo takiej hypotezy, bo... on po prostu nie był tym, od któregoby rzecz taka wyjść mogła. Nie był a tymczasem...

Jakaż tedy pozostawała jej droga wyświetlenia prawdy?

Jawna, szczera i prosta rozmowa z nim samym na cztery oczy?

Niemożebna! Zupełnie niemożebna! Ona przecież nie może mu powiedzieć, że tak jak on rozgrzebywała ten śmietnik, że zajrzała na dno tych mętów, że po zajrzeniu dopiero odwróciła się i pogardziła. Sam fakt zabłąkania się jej ducha w te sfery, samo zrozumienie znaczenia tego co on szczegółowo objaśniał i komentował, ubliżałby jej wedle jej własnego mniemania w wysokim stopniu. Były i inne względy. Do dyskusyi dopuścić nie może, usprawiedliwień słuchać nie chce, w zgodę między niemi, jeśli tylko fakt jest faktem, nie wierzy i nieuwierzy nigdy, więc po co próby i po co wyjaśnienia.

A nakoniec... ona tego przed sobą nie przyznaje, ale ona się lęka oddziaływania jego w podobnej chwili. Ona zna tę dyalektykę subtelną, zna sofistykę tych argumentów jego, i dar przekonania, i siłę wpływu, i wreszcie to, na co się jej duma oburza w tej chwili najbardziej—zna słabość własną...

Jeśli tak jest istotnie, to jużciż drogi ich rozejść się muszą i rozejdą, bo znaczyłoby to, że ona pomyliła się w osobie, ale nastąpi to nie po wyjaśnieniach żadnych — na wyjaśnienia niema miejsca w tej sprawie z pewnością największą.

Tak ona rozumowała sobie wtedy, pamięta dobrze, a nawet niezdolna byłaby zapomnieć tego kiedykolwiek.

A tymczasem potrzebowała pewności matematycznej, że tak jest a nie inaczej. Zrazu wydało jej się, że do takiej pewności doprowadzi ją krótko i prosto sprawdzenie nazwisk w księgach czytelni. Jeśliby jego nazwisko znalazło się tam, jeśliby się przekonała, że przed niedawnym czasem książka niewątpliwie była w jego ręku, jużciż dowód taki byłby dowodem zupełnym...

Wiemy jak się wzięła do tego śledztwa w czytelni, i z czem wyszła ztamtąd, wiemy co się działo przed godziną w izdebce starego Hermana, nie dziwmyż się stanowi jej umysłu w tej chwili, nie dziwmy się i temu, że się uważa za ofiarę prawdziwą fatalności, bo istotnie wypadek należał do wyjątkowych zupełnie.

To wszystko ona rozpamiętywa w tej chwili uprzytomnia sobie, porządkuje niejako, ale jak z nią jest teraz — co ona obecnie o tem myśli, czego pragnie i czego się spodziewa, tego niemogłaby powiedzieć sama.

Tej kontemplacyi jednakże nie można było w nieskończoność przedłużać w ogrodzie publicznym. Już paru pochłaniaczy serc kobiecych, z rodzaju tych, którzy o pewnych godzinach stale grasują w ogrodzie, przeszło obok tej ławki, rzucając spojrzenia, które im samym wydają się zapewne nie do odparcia, a w których trzy czwarte kobiet doczytuje się innych zgoła właściwości. Po takiem naprężeniu nerwowem przychodziła kolej na reakcyę, na osłabienie, na bezwład prawie zupełny. Duch i ciało zarówno dopominały się o spoczynek.

Łatwo też wyobrazić sobie otuchę, jaka w nią wstąpiła po pierwszych słowach, wymienionych za powrotem ze służącym.

— Pan był na śniadaniu? pytał się o mnie?

— Pana odwieźliśmy z Jakóbem na kolej. Ja wracam w tej chwili.

— Co zaszło?

— Jakaś depesza z zagranicy — konsylium. Pan odebrał telegram na mieście i powrócił już do domu z pasportem w kieszeni. Zaledwie zdążył zjeść śniadanie; koni nawet nie kazał wyprzęgać. A jest tu i kartka dla pani.

To mówiąc, podał jej kilka słów ołówkiem w języku francuzkim z pośpiechem wyraźnym nakreślonych. Była tam mowa o tem, kto wzywał pomocy doktora, o przypuszczalnym powrocie za dwa dni wraz z prośbą treściwą o pamięć i czuwanie nad sobą w myśl jego zaleceń i wskazówek. Wszystkiego trzy wiersze jakieś.

Odetchnęła z głębi piersi. Widmo tej nieuniknionej zawsze rozmowy z ojcem, które jej się ukazywało od czasu do czasu, przygniatało ją szczególnie. Te dwa dni, to niespodziewana ulga, to możność zejścia ludziom z oczu z troską swoją — to samotność upragniona tak gorąco, to rozejrzenie się w sytuacyi, a wreszcie może nawet i znalezienie w sobie siły do powzięcia postanowienia na przyszłość...

Jakiego postanowienia? Nawet nie odgadywała jakiem ono będzie.

Rozpoczęła p. Julia od zapowiedzenia służbie, że niema jej dla nikogo bezwzględnie, aż do czasu powrotu ojca, a potem kiedy się znalazła sama pod wpływem tej ciszy kojącej, tego spokoju, którego nikt zamącić nie mógł, przyszło jej się przekonać, że wszystkie nasze wysiłki wielkie — wszystkie prace i heroizmy nawet kończą się u ludzi śmiertelnych jednym i tym samym trybem, t. j. wypowiedzeniem ze strony ciała posłuszeństwa duchowi, który na czas jakiś naruszył równowagę przyrodzoną. Ranek dnia następnego zastał ją w tem samem miejscu z głową opartą na poduszce kanapy, tak jak była oparła wczoraj po powrocie z miasta.

Któż nie zna przypływów i odpływów tej fali potężnej, jaką jest dusza ludzka? Od zwątpień i rozpaczy często przedwczesnej przechodzimy do nadziei równie jak ta rozpacz nieuzasadnionej — od niechybnej prawie tuż pod stopami otwierającej się zagłady krok tylko jeden u człowieka do wszystkich możliwych miraży szczęścia i porywów optymistycznych. Wśród takich krańcowych przeciwności duchowych, przebyła ta kobieta całe prawie dwa dni, jakie jej los usłużny na wyłączną własność pozostawił. Nie było ewentualności, którejby nie przerobiła jej myśl, nie było usprawiedliwień i pobłażliwości z jednej, ani surowych sądów i odtrąceń z drugiej strony, w którychby nie widziała siebie na przyszłość w stosunku do tego człowieka. Były chwile, w których wydawało się jej, że najprostszym jej obowiązkiem była ofiara, a najszczytniejszem z zadań, jakie przypaść może kobiecie, podźwignienie upadającego czy upadłego. Momentami podnosiła ją egzaltacya duchowa tak wysoko, że i ten nawet ostatni wyraz wśród naprężenia nerwowego nie raził jej tragicznością swoją. Były godziny trzeźwości sądu, w których jako niepodobieństwo bezwarunkowe przedstawiało jej się przejście przez życie obok istoty niższej od siebie, w których na samą myśl podobną wstrząsało nią oburzenie i nienawiść.

A tu z nikąd rady — z nikąd i od nikogo. Ojciec własny nie był dla niej trybunałem w tym względzie. Opinja może, jaką miał ten człowiek? Oh! co do tego jednego nie miała p. Julia złudzeń żadnych i to od dosyć dawnego już czasu. Mętów życia nie znała, bo znać nie chciała, ale o oportunizmie chwili, o kompromisach i pobłażliwościach opinii miała ona pojęcie zupełnie wyrobione i stałe. Tak jej zeszły dwa dni owe pamiętne.

(Dokończenie nastąpi.)

KRONIKA.

Nauka.

Byli uczniowie znanego powszechnie pedagoga p. Jana Pankiewicza celem uczczenia zasług szanownego niegdyś zwierzchnika swego, złożyli summę rs. 3,000 jako fundusz stypendyalny. Odsetki od tej summy przeznaczone są na zapomogi, dla tutejszych uczniów średnich zakładów naukowych i szkół miejskich—Polaków wyznania rzymsko-katolickiego.

Na brak zawodowego wykształcenia w przemyśle i rękodzielnictwie narzekamy często i nieledwie że nałogowo, a z drugiej strony zakładający szkoły rzemiosł uskarżają się na brak uczniów, których liczba niedostateczna poniesionych nakładów instalacyi i prowadzenia szkoły pokryć nie może. Oto świeżo znajdujemy w „Słowie" podobne przypomnienie istniejącej od lat 3 przy ulicy Śliskiej pod nr. 28 instytucyi dobroczynnej dla biednych dziewcząt, którą uważamy za konieczne przypomnieć pamięci ogółu za pośrednictwem naszego pisma. Wedle zapewnień „Słowa" szkoła zasługuje na to, aby się nią ogół nasz zainteresował, tak ze względu na popłatność działów pracy, do której przygotowywane są jej uczennice, jak i na sumienność, z jaką wywiązują się ze swego zadania przewodniczący. W dwóch salach mieszczone są dwa oddziały szkoły. W jednym z nich pod kierunkiem p. Miniewskiego pracują dziewczęta nad wyrobami skórzano-galanteryjnymi niemniej takimiż z jedwabiu i aksamitu, przyczem wspomina sprawozdawca o ozdobnem i trwałem wykończaniu przedmiotów. W drugim dziale naucza koszykarstwa p. Gellert, i tu oglądał członek redakcyi „Słowa" piękne bombonierki, efektowne koszyki do kwiatów, żardinierki i inne podobne wyroby. W każdym razie przyznać należy, że jakkolwiek wszystkie wzmiankowane przedmioty liczą się niby do artykułów zbytku, ale i zbytek sam jest już dzisiaj u nas w tej gałęzi produkcyi nadto rozpowszechnionym, aby należycie uzdolnione w tym fachu robotnice bez zajęcia pozostawać mogły.

Z inicyatywy prezesa tutejszego zarządu probierni powstał zamiar otwarcia w Warszawie szkoły jubilerskiej. Ustawa probiercza z roku 1896 wkłada na zarząd obowiązek starania się o rozwój przemysłu złotniczo-jubilerskiego, a jako jeden ze środków wywiązania się z tego zadania, mówi o otwarciu specyalnych szkół złotniczo-jubilerskich. Dla zgromadzenia potrzebnego na ten cel funduszu zbierane są już deklaracye od osób interesujących się tą sprawą.

Ze sztuki.

Salon artystyczny na Nowym Świecie przystąpił w ostatnich dniach do licytacyi obrazów, które zgromadzili tam na wystawę nasi artyści-malarze. Sprzedaż rozpoczęła się w dniu 25 b. m. i trwać będzie do końca przyszłego tygodnia. Objętych katalogiem licytacyi wykazano 1,500 obrazów olejnych, akwarel, rysunków, pasteli i szkiców, niemniej znaczną ilość przedmiotów z zakresu sztuki stosowanej. Po ukończeniu tej sprzedaży zamierzył Salon artystyczny urządzić wystawę dzieł pozostałych po zmarłym niedawno artyście naszym ś. p. Tytusie Maleszewskim.

Na konkursie styczniowym w Paryżu rodak nasz p. Jan Kazimierz Olpiński artysta-malarz otrzymał medal srebrny, a zatem najwyższą nagrodę za studyum swoje przedstawione komisyi konkursowej.

Instytucye.

Zawiadamiają pisma codzienne, iż w posesyi szkoły technicznej pp. Wawelberga i Rotwanda przy ulicy Mokotowskiej nr. 4, nowo wzniesiona budowla przeznaczona na pomieszczenie obserwatoryum astronomicznego, została już całkowicie uporządkowaną wewnętrznie i oddaną do użytku komu należy. Ustawienie narzędzi astronomicznych, po dopełnieniu uprzedniem ich spisu, jest również już dokonanem, a narzędzia te pochodzą, jak to zapewne czytelnikom wiadomo, z darów hr. Ksawerego Branickiego i prywatnego obserwatoryum dr. Jędrzejewicza w Płońsku. Trzy miesiące czasu jeszcze upłynie podobno, zanim nowa nasza instytucya naukowa rozpocznie systematyczną pracę swoją, i wejdzie w stosunki z innemi obserwatoryami Europy. Kierunek obejmuje starszy astronom tutejszego Obserwatoryum dr. Jan Kowalczyk, przy pomocy p. Gabryela Tołwińskiego wychowańca Uniwersytetu Warszawskiego.

Kuryery oba powzięły myśl utworzenia w Warszawie muzeum miejskiego. Celem jego ma być gromadzenie zabytków przeszłości, przechowywanie pomników architektury, malarstwa i rzeźby, i wogóle tworzenie zbiorów tego wszystkiego, co ułożone w pewien system może dopomódz do wyrobienia pojęć właściwych o stronie kulturalnej naszej przeszłości i podniesienia zmysłu estetycznego mieszkańców tutejszych.

Weszło już w życie zapowiadane i dyskutowane oddawna w prasie Towarzystwo pożyczkowo oszczędnościowe. Zadaniem jego jest dostarczanie członkom swoim pożyczek na warunkach nieuciążliwych, niemniej lokowanie w tej instytucyi oszczędności na procent. Ustawa wzorowaną jest na ustawie normalnej, wydanej dla stowarzyszeń drobnego kredytu, które mają ten przywilej, że operacye ich wszelkie uwolnione są od opłaty stemplowej. Jako rękojmia dla poszukujących lokaty pieniężnej służyć może solidarna odpowiedzialność wszystkich uczestników do wysokości ich wkładów. Ułatwienia są bardzo pociągające, dopuszczają one do uczestnictwa wszystkich pełnoletnich mieszkańców Warszawy, bez konieczności przedstawiania poręczycieli i wnoszenia opłaty wstępnej. Udział członkowski wynosi rs. 50. Zapisy dokonywane są w zarządzie stowarzyszenia Krakowskie Przedmieście nr. 66 w lokalu „Gazety Rzemieślniczej."

Wskazówki naukowe.

O działalności żółci na jad wężów podaje wiadomość czasopismo „Nature," a z niego „Wszechświat" w 4 ym numerze roku bieżącego. Za punkt wyjścia przy stosowaniu żółci, jako antydotu przeciw ukąszeniu wężów jadowitych, przyjęto znany dobrze pewnik, że jad ten dostawszy się do żołądka nie wywiera wcale szkodliwego wpływu na organizm, i na tem też polega znany powszechnie sposób wysysania ustami rany zadanej przez węża. Według ostatnio ogłoszonych poszukiwań profesora Frasera, żołądek danego zwierzęcia może znieść bez szkody dawkę 1000 razy większą od tej, która zabija zwierzę dostawszy się do jego krwi. Okazały ściśle badania, że tym środkiem, który niweczy w żołądku szkodliwe własności jadu jest żółć, a wyjątkowo silnie reaguje żółć samych wężów. Nieznaczna jej domieszka osłabia znacznie siłę jadu, a nawet może go uczynić zupełnie nieszkodliwym. Żółć wężów ma posiadać własności przeciwdziałające silniejsze niż krew tych płazów.

Widowiska z celem filantropijnym.

Zarząd I ej szwalni warszawskiej, zostającej pod przewodnictwem hr. Wiktorowej Ronikerowej wraz z głównym opiekunem p. Władysławem Siewrukiem urządza w celu pomnożenia zasobów instytucyi doroczne przedstawienie w cyrku Cinisellego. Przypominamy ogółowi przy sposobności, że szwalnia I sza daje obecnie przeszło 400 dziewczętom możność wydoskonalenia się w nauce haftu i szycia, a oprócz tego posiada ona filię swoją w Ignacowie pod Mińskiem, gdzie uczy się służby domowej 33 dziewcząt. Oceniający użyteczność tego zakładu nie zapomną zapewne o dacie 1 Marca wyznaczonej na przedstawienie, o którem mówimy.

Kółko amatorów muzyki znane ze swej gotowości w niesieniu pomocy ubogim, zajęte jest obecnie próbami fantastycznej opery A. Sonnenfelda „Świtezianka." której pierwszy obraz ujrzy wkrótce publiczność nasza w sali Muzeum przemysłu i rolnictwa. Kompozytor ofiarował utwór swój bezinteresownie, i obecnie sam kieruje próbami, które, jak zapewniają znawcy, wróżą jaknajlepiej o przyszłem przedstawieniu. Termin wystawienia opery naznaczony na dzień 6 Lutego.

Tabella rozwoju dróg żelaznych.

W d. 1 Stycz. 1896 r. było na świecie wedle ścisłych obliczeń 698,356 kilometrów drogi żelaznej czynnej, a z tego przypadło na: Niemcy 56,413 — Francyę 40,199—Rossyę 37,746—Austryę 36,638 — Włochy 14,944—Belgię 5,544. Inne państwa mające mniej dróg żelaznych pominiemy w tej notatce, co zaś do innych części świata, to wykazują na Amerykę 369,686 kilometrów—Afrykę 13,144—Azyę 43,279—Australię 22,349.

Wskazówki i rady.

Kolacya mniej wystawna.

1) Pasztet zimny „pain de gibier" podany w galarecie — „auszpik."

2) Ryba szczupak z sosem pieczarkowym.

3) Zające, perliczki lub pulardy z kompotem i sałatą.

4) Krem śmietankowy „crême builé" lub tort hiszpański (patrz 365 obiadów wydanie 18), owoce. Jabłka, pomarańcze.

Lucyna Ćwierczakiewiczowa.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani E. Piek. w Smol. Podręcznika szkoły kroju Wortha niema, bo on szkoły kroju nigdy nie prowadził i nikogo nie uczył, o czem podał do wiadomości przez stosowne ogłoszenie w pismach. Francuzka metoda nazywa się ta, która uczy kroju podług wymiaru na centymetry, i istotnie taka jest najlepsza.

Sow. z nad Dniepru. W odpowiedzi powiadamiamy, że klisze na desenie robót kobiecych i żurnali otrzymujemy gotowe z zagranicy i dlatego nie jesteśmy w możności skorzystać z propozycyi Sz. Pani.

☞ Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami.

MAGAZYN BŁAWATNY

J. GRUCZYŃSKIEGO I S^KI

Krakowskie-Przedmieście Nr. 7.

Na sezon karnawałowy poleca:

Wielki wybór Wełn jasnych, Muślinów, Tiuli i Jedwabi, od skromnych do najstrojniejszych Adamaszków. „Gaze Liberty" na suknie plisowane.

583-30-24

Od 1 listopada 1897 roku wychodzi w Warszawie

„Przegląd Filozoficzny"

PISMO MAJĄCE NA CELU:

1) Dać ogółowi intelligentnemu poważną lekturę, oraz zawiadamiać go o ruchu filozoficzno naukowym w kraju i zagranicą.

2) Zachęcić młode siły do badań filozoficzno-naukowych.

3) Zachęcić specyalistów do uwzględniania zasadniczych teoretycznych podstaw ich specyalności.

4) Przyczynić się do skupienia sił naukowych.

Treść pisma stanowić będą:

Artykuły oryginalne z psychologii, teoryi poznania, logiki, metodologii, etyki, estetyki: socyologii, historyi filozofii, oraz ze wszystkich nauk specyalnych, o ile w nich będzie się ujawniał pierwiastek filozoficzny

Jednym z głównych zadań **„Przeglądu Filozoficznego"** będzie roztrząsanie kwestyi, wywołanych życiem praktycznem, o ile te kwestye znajdą się w ściślejszym związku z zagadnieniami filozofii.

Dział sprawozdawczy będzie obejmował cały ruch filozoficzno naukowy z wyżej wymienionych dziedzin umysłowości ludzkiej i zawierał: ***Krytykę i Sprawozdania rzeczowe, Przegląd czasopism, Wiadomości bieżące, Notatki filozoficzne, Bibliografię.***

W najbliższych numerach zamierzamy umieścić rozprawy następujące:

Edward Abramowski: „Dwulicowy charakter spostrzeżeń."
Karol Appel: „Błędy w mowie i piśmie, jako przedmiot badania psychologicznego."
Dr. Władysław Biegański: „Myślenie logiczne a kojarzenie wyobrażeń."
Prof. Dr. Piotr Chmielowski: „Adam Mickiewicz jako filozof."
Samuel Dickstein: „Korespondencya Kochańskiego z Leibnitzem."
Prof. Dr. Ludwik Gumplowicz: „Ibn Kaldun, socyolog arabski z XIV wieku."
Napoleon Hirszband: „Ewolucya wrażliwości estetycznej."
„Kult siły ducha jako podstawa etyki."
Zygmunt Heryng: „Ruch i jego atrybuty."
Władysław M. Kozłowski: „Próba wykrycia i wykazania pierwiastków apriorycznych w zasadniczych prawach przyrody, dotyczących materyi nieorganicznych."
Adam Mahrburg: „Co to jest nauka."
„Filozofia przeczenia (negacyi)"
Dr. Leon Marchlewski: „Postępy syntezy chemicznej i jej dążenia."
„Poparcie teoryi ewolucyi Darwina przez eksperyment chemiczny."
Dr. Maryan Massonius: „Racyonalizm w teoryi poznania Kanta."
Dr. Julian Ochorowicz: „Stosunek psychologii do medycyny."
Józef K. Potocki: „O terminologii psychologicznej."
Zenon Przesmycki: „Estetyka Hoene-Wrońskiego."
„Nowe próby i metody w dziedzinie estetyki."
Dr. Rafał Radziwiłłowicz: „Znaczenie komórki nerwowej."
Prof. Dr. Ludwik Stein: „Podstawy filozofii społecznej."
Prof. Dr. Kazimierz Twardowski: „Z dziedziny teoryi indukcyi."
Feliks Wermiński: „Dzisiejszy stan teoryi Darwina."
Władysław Weryho: „Materyalistyczne pojmowanie dziejów."
„Karol Marx jako filozof."

Oprócz wyżej wymienionych przyrzekli już swoje współpracownictwo *Prof. Dr. Jan Baudouin de Courtenay, Jan Władysław Dawid, Dr. Konstanty Górski, Władysław Gosiewski, Dr. Władysław Heinrich, Prof. Dr. Henryk Hoyer, Dr. Bolesław Epstein, Dr. Maksymilian Flaum, Dr. Jan Karłowicz, Stanisław Karpowicz, Prof. Dr. Józef Kowalski, Tadeusz Korzon, Władysław Kozłowski* (ze Lwowa). *Stanisław Kramsztyk, Antoni Krasnowolski, Ludwik Krzywicki, Floryan Łagowski, Jan Lorentowicz. Prof. Dr. Władysław Natanson, Prof. Dr. Teodor Masaryk, Dr. Władysław Olechnowicz, Dr. Władysław Ołtuszewski, Salomon Posner, Ludwik Przysiecki, Prof. Dr. Henryk Struve, Dr. Aleksander Świętochowski, Dr. Antoni Złotnicki.*

„***Przegląd Filozoficzny***" wychodzić będzie co kwartał, obejmując 8 do 10 arkuszy druku.

Prenumerata „Przeglądu Filozoficznego" wynosi: w Warszawie rocznie rs. 4, półrocznie rs. 2; z przesyłką „ „ 5, „ „ 2.50

Prenumeratorzy roczni otrzymają jako dodatek bezpłatny dwa odczyty Emila du Bois Reymond'a p. t. „O granicach poznania natury" i „Siedem zagadek wszechświatowych" w tłómaczeniu ze wstępem Dr. Maryana Massoniusa.

Redaktor i wydawca Dr. Władysław Weryho, Warszawa, Krucza 26. 451—2—2

Księgarnia nakładowa

EMILA SKIWSKIEGO

Warszawa, Chmielna 26.

Poleca następująca dzieła dla młodzieży;

Esteja:
KRÓLEWICZ KĘDZIOREK I KRÓLEWNA PEREŁKA
Bajka, wydanie luksusowe ozdobione licznemi akwarelami i rysun. A. Borkowskiego w ozdobnej oprawie. Cena rs. 2.

Wiktor Gomulicki:
NIEDZIELE ROMCIA
z illustracyami. W kartonie. Cena 1 rs. kop. 50.

Stefan Gębarski:
Robinson Tatrzański
z illustracyami. Cena w kartonie 1 rs. kop. 50 w oprawie rs. 2.

Marcus i Aurelian
Opowiadanie z pierwszych wieków chrześcijaństwa. Cena kop. 25.

ZDOBYCIE KONSTANTYNOPOLA
Opowiadanie historyczne. Cena kop. 25.

E. Jerlicz:
KREWNI
Powieść odznaczona na konkursie „Przyjaciela Dzieci." Cena kopiejek 80.

Br. Grabowski:
KOLEGA JULKA
Powieść zalecona do druku na konkursie „Przyjaciela Dzieci." Cena kop. 70.

M. Bzowska:
WIRGINIA
Powieść z pierwszych czasów chrześcijaństwa Zalecona do druku na konkursie „Przyjaciela Dzieci." Cena kop. 25.

J. Norman Lockyer;
Pierwsze początki Astronomii
Przełożył Władysław Skłodowski. Z licznemi illustracyami w kart. Cena kop. 60

Zuzanna Morawska:
Z dziejów słowiańszczyzny kresowej
Opowiadanie historyczne. Cena kop. 25.

Teresa-Jadwiga:
DWIE SIOSTRY
Opowiadanie historyczne z czasów państwa rzymskiego. Cena kop. 25.

Talizman Janka
Cena kop. 25.

PRZYJACIEL DZIECI
z lat dawnych.
Rocznik zbrosz. rs. 4, w ozdob. oprawie rs. 5.

Do nabycia u wydawcy i we wszystkich księgarniach. Nadsyłający żądania wprost do nakładcy kosztów przesyłki nie ponoszą.

Pracownia Rzeźbiarska w drzewie

D. URBAŃSKIEGO

w Warszawie, ulica Bracka № 12.

Przyjmuje roboty kościelne, salonowe, meblowe, modele do odlewów i wszelką galanteryę.

CENY UMIARKOWANE. 780—24-4

SZKOŁA KROJU I SZYCIA

EMILII EHRENKREUTZ,

uczennicy Worth'a, ***MISTRZYNI CECHU.***

Nagrodzonej ***Medalem „de l'Academie Nationale des Maitres Tailleurs de Paris."***

Przy Szkole ***Pracownia Sukien. Krój*** bez żadnych poprawek.

W Warszawie, Chmielna 24, parter, front. Zgoda 3.

647—25—20

Fabryka Pończoch i Trykotaży

Z. MENTZEL

9. Ś-to Krzyzka 9.

Poleca własne wyroby w najlepszych gatunkach na sezon obecny.

Wybór wielki. — Ceny bardzo nizkie: 588—20—16

SZKOŁA KROJU i SZYCIA

MARYI MACIEJOWSKIEJ

System francuzki, nauka dokładna i sumienna. Na żądanie ***Patenty cechowe.*** Osoby przybyłe z prowincyi mogą znaleźć wygodne pomieszczenie.

NOWY-SWIAT 56, m. 5. 614—25-22

Wyborowa woda kolońska „CECYLIA"

Nagrodzona na wystawie Listem Pochwalnym.

do nabycia w głównym składzie **Elektoralna Nr. 43, m. 6,** oraz w znaczniejszych sklepach. 564—25—24

Pralnia Chemiczna

E. SPONAR

Chmielna 10, m. 17. 743-12-3

Juliusz Zeyer.

JAN MARYA PLOJHAR.

PRZEŁOŻYŁ

MIRIAM.

(Ciąg dalszy).

Tu przymykające się powoli jej oczy zaczęły się łzami napełniać... O, nie kroczył już Nacziketas w „śmierci dom" sam... Widziała przy jego boku postać drugą, która się do niego tuliła i w oczy mu patrzała, w te oczy, które mroczyły się i rozjaśniały zarazem, jak dwa rozświty. Tą postacią była ona sama, Caterina! tak, była to jej dusza jaśniejąca miłością, ona to zatapiała się w tym czarownym, marzącym zmroku jego źrenic.. Z uczuciem czegoś słodkiego i smętnego zarazem jęła się teraz gubić świadomość jej w głuszy— w próżni, niby westchnienie w mroku nocnym...

A o kilka kroków od niej leżał na kanapie Jan Marya i śnił również. Ale gdyby teraz była słyszała, jaki oddech jego stał się nieregularny, ciężki, chrapliwy, jak w jęk zmieniał się zwolna! Gdyby była teraz udręczoną twarz jego ujrzała! Jan Marya miał przerażający sen. A początek jego był jednak taki pełny pogody! Zdało mu się, że widzi tysiące, tysiące kwitnących słoneczników, a było to w tym starym, wilgotnym ogrodzie w Hawranicach, nadziemsko jakoś zidealizowanym i w nieskończoność rozszerzonym. Było tam rajsko, słonecznie, coś jak uśmiech świętych i aniołów unosiło się w powietrzu. Słoneczniki falowały jak żółte morze, i naraz zaczęły dzwonić, dzwonić, dzwonić, podźwięk ich, naprzód cichutki i słodki jak woń, rósł, potężniał a, im dalej, tem głuchszym stawał się i okropniejszym. Nagle znikł uśmiech ogrodu i w mroku, niby niezmierne orłów stado, szybować teraz jęły tysiące, tysiące wielkich dzwonów spiżowych pod chmurnym, czarnym nieboskłonem — i Jan Marya leciał za nimi. Nagle ujrzał się w Pradze. Ale nie była to Praga, którą znał. Ta była gigantyczna jakaś, budowy jej dotykały niebios, wokół szumiały prabory, Wełtawa pieniła się i miotała falami jak morze wzburzone, a ulice miasta, długie, długie, zdawały się pierzchać od jej brzegów, gubić się w nieskończoności, we mgłach, w otchłaniach, ale były puste, bezludne, odzewem jeno tych orłów-dzwonów napełnione! Groza niezmierna była w grzmocie tego rozdzwonu. Widocznem było, że dzwony to huczą pogrzebowi nad całem sądowi i potępieniu oddanem miastem. Fioletowy piorunu zygzak przeleciał teraz niebiosa, i Praga wyglądała w widmowem oświetleniu tem jak olbrzymia, posiniała twarz człowieka umierającego w rozpaczy. Naraz zamrowiły się wszystkie ulice ludnością biadającą, nawołującą szalenie i wskazującą ku niebu.

Jan Marya spojrzał też ku niebu i włosy zjeżyły mu się na głowie. Od zachodu i od wschodu, z południa i z północy, w ciężkim chmurzysk tumanie, waliły się zastępy żołnierstwa na olbrzymich rumakach a z apokaliptycznego pochodu tych wojsk szedł grzmot jakby tysiąca miażdżących ziemię gradów, dachy zawalały się pod tętentem tych górom podobnych a teraz w dół rzucających się źrebców, kościoły i wieże zapadały się lub w krwawych rozbłyskały łunach pod ciosami piorunowych kopij w rękach dzikich tych jeźdźców. A dzwony huczały dalej, a ludzie padali grozą niby morem rażeni, a pożary strzelały w górę i buchały w zapasach z wichrami... Tak rozpadala się Praga, niby druga Sodoma, przy urągliwym śmiechu tych jeźdźców nadludzkich, w proch i popiół, a z siedziby starej jej sławy, z Wyszehradu, niby z najwłaśniejszego jej serca, wytrysł olbrzymi, gorący prąd krwi i smagnął oblicze niebios. — Sprawiedliwa to!—zawołał Jan Marya—i usłyszał głos grzmiący jak morze: — Zgotowałem tej ziemi dyadem królowej, ale ona wolej nierządnicą być chciała. Zaparła się Boga swego, a ohydne oto umiłowała bożyszcza i osądziłem ją. Jan Marya zapłakał. Przyszła więc wreszcie ostatnia godzina i wypełni się stare ono proroctwo! Już oto roznoszą ją na kopytach końskich wrogowie, tę ziemię Czeską, od wieków potępioną! I przestał miłować Boga za jego sprawiedliwość, nienawiści pełne jego źrenice szukały tego sędziego na niebie.—Gdzie jesteś, Boże—zawołał—i kim jesteś? Ojcem naszym nie, toć widoczna — i patrzał w górę. Zamiast niebios widział tam teraz nad sobą czarną otchłań, a z tej wysterczało coś nieokreślnego, niby twarz olbrzymia. Mgły spływały na nią zamiast włosów, słońca gorzały jej pod czołem zamiast oczów, oblicze całe miało wyraz najstraszliwszego szaleństwa, z ust buchał mu taki śmiech, że krew w żyłach w lód się obracała — i odwieczne bluźnierstwo ozwało się w łonie Jana Maryi.—Czyliż nie wiesz—szemrało w nim coś — że Bóg stworzył świat ten w napadzie szaleństwa? — Jakby w odpowiedzi na to rozbrzmiał pusty, do posad teraz walący się świat niezmiernym ryhotem, a w tych nad wszystko przerażających dźwiękach poznał wyraźnie Jan Marya głos swej siostry, i uczuł więcej, niż gorzkość i lęk konania...

I teraz oto, z tych krwawych słońc, tworzących demoniczne źrenice boga-szaleńca, patrzały nań gorączkowo wzburzone, dzikie jej oczy... z wykrzykiem — Róża Marya! — otrząsł się przemocą z zabójczej tej zmory, ale nie z okropnego przerażenia swego. Oczy miał wytrzeszczone, słyszał dotąd niezmierny ten rozhuk dzwonów i echo straszliwego owego ryhotu, i nie wiedział, co się z nim dzieje. Na wykrzyk jego zbudziła się Caterina i przyskoczyła do niego.

— Co ci jest, na Boga! — zawołała, blada z lęku i grozy, która na nią z błędnych jego oczu powiała. Latały jak one spojrzenia waryata.

Jan Marya chwycił ją dziko za ręce.

— Módl się ze mną! — krzyknął. — Godzina przyszła! Sięga po mnie śmierć!

— Uspokój się! — jęknęła — zawołam pomocy!

— Nie, nie!—rzekł.—Nikt nie pomoże. On mógłby, ale On nie chce. Wołaj doń, Caterino, aby się zmiłował! Ciebie może usłyszy. Ja nienawidzę go!

— Kogo? Kogo? Pytała, drżąc całem ciałem.

— Twego Boga — szeptał i otwierał oczy, jak gdyby szukając go w mrokach pokoju.— On to dopuścił! I dobrze tak, dobrze! Niech ją rozniosą, tę ziemię, na kopytach końskich, czemu pohańbienie swe z tępym znosiła niewolników spokojem!

— Ucisz się – prosiła Caterina.—Przebudź się!

— Ach ja nie przebudzę się—zawołał z rozpaczą—ja umrę, umrę, a ja chcę żyć, Caterino, żyć, żyć!

I osunął się na ziemię, głowa opadła mu ciężko, czoło zraniło się o ostry róg stołu, tak, że krew strumieniem wytrysła, a jednocześnie lały mu się łzy z oczu.

— Ty zostaniesz zawołał dziko na Caterinę—ty zostaniesz na białym świecie, a ja gnić będę w jamie głęboko, głęboko — i ty mnie zapomnisz.

Padła koło niego, trzymała go w objęciu, gorączka jego przechodziła w myśl jej, wzburzenie jego nerwów opanowało i jej ciało, ostatnie ślady jej spokoju znikły, groza biła z jej oczu teraz równie prawie dziko jak jemu, trzęsła się jak on, nie była pewniejsza zmysłów swych niż on, była prawie szalona jak on. Zaczęła całować go namiętnie. Przycisnął ją do siebie.

— Caterino, umrzyj ze mną! — zawołał w obłędzie —Ach, ty nie chcesz, ty nie chcesz!

Całowała go bez słowa, całowała jego ranę, jego krew i jego łzy były na jej twarzy, na jej ustach, mieszały się z jej łzami

— Umrę z tobą!—majaczyła w gorączce.— Piję łzy twoje, piję krew twoją, jestem twoja, twoja, Janie Maryo, z tobą stanę przed Bogiem—a On zlituje się nad nami obojgiem, albo odtrąci nas oboje — ale nas nie rozłączy!

Była jak upojona, przycisnęła głowę do jego piersi. Potem zapatrzyła mu się w oczy, wcisnęła mu długi, długi pocałunek na usta— i zdawało się, że umiera, bo oczy jęły jej się przymykać a głowa w tył opadła. Omdlała. Jemu wszakże wróciły nagle wszystkie siły ciała i ducha, wszystkie pragnienia, wszystkie tęsknoty młodości, niewysłownie słodka rozkosz rozfalowała mu się po wszystkich żyłach, krew jego wrzała, żądza niezmierna a płomienna porwała zmysły jego w szalony, ślepy, głuchy wir, przyciągnął to czarowne, słodkie jej ciało ku sobie i gorące jego usta szukały jej twarzy, jej szyi, jej ust.

Caterina otworzyła oczy, budząc się z krótkiego omdlenia i z szału gorączkowego, który na chwilę tak gwałtownie ją uniósł. Czysto, święcie, marząco, niby gwiazdy wschodzące, zajaśniały źrenice jej i odbiły się w jego namiętnością zmąconem spojrzeniu. Drgnęła; z jego uśmiechu, z jego oczu bił nieznany, obcy jakiś wyraz, który bardziej przeraził ją, niż poprzednie jego deliryum. Nie wiedziała, co to znaczy, ale cofnęła się instynktowo i zdjęła z siebie drgające jego ręce.

— Puść mnie — rzekła spokojnie z podziwieniem.—Janie Maryo, czyś to ty?

Puścił ją, zbudził się w okamgnieniu z tego nowego, nad poprzednie gorszego, przeklętego szaleństwa. Kląkł przed uroczystością tego zjawiska i zawołał z boleścią:

— Odpuść mi, Caterino! Odwróć twarz swą ode mnie! Nie jestem godzien twego spojrzenia!

I zakrył sobie twarz, która gorzała rumieńcem.

I przez jej twarz przeleciał teraz lekki rumieniec, o którym nie wiedziała. Obejrzała się po pokoju, jakby kogoś chcąc o coś zapytać.

— Co się to z nami działo? — rzekła w końcu ze zdziwieniem, zbliżywszy się do niego i chyląc się nad nim. — Ach, krew ci płynie! Krew ci płynie!—zawołała, spostrzegłszy znowu jego ranę.

— Nic to—odpowiedział.—Małe zranienie...— Wytrzeźwiał był zupełnie.

Zadzwoniła, otworzyła drzwi, a gdy przyszła Suntarella, kazała przynieść świeżej wody.

Jan Marya był w jakiemś pomieszaniu, gdy znowu zostali sami. Nie trwało to wszakże długo. Francesco przyniósł wodę. Caterina całą duszą znowu stała się siostrą miłosierdzia. Podczas, gdy obmywał ranę i krew, przygotowywała mu obwiązkę na czoło.

— Jest mi zupełnie dobrze—rzekł teraz Jan Marya.—Czuję tylko znużenie. Myślę, że będę dobrze spał.

Wydawał się spokoinym, zupełnie spokojnym.

— A więc dobrej nocy—rzekła Caterina ze swym zwykłym, pięknym, dziecięcym uśmiechem.—I ja jestem bardzo znużona.

Potrząsnęli sobie ręce i rozeszli się.

Było postanowione, że Francesco będzie nocował w sypialni chorego.

Jan Marya leżał z zamkniętemi oczyma, ale nie spał. Robił sobie najostrzejsze wyrzuty z powodu owego wzburzenia zmysłów, z powodu wybuchu tej dzikiej żądzy, postokroć błagał w myśli anielskie jej zjawisko o przebaczenie zniewagi, o której nie wiedziała. Zapominał o swoim śnie, o liście z Pragi — i leżał w końcu nieruchomie, nawznak, bez myśli, ogłuszony i śmiertelnie znużony tyloma wrażeniami, tyloma burzami.

Caterina była spokojna, taka spokojna, że aż się temu dziwiła. Była również jakby ogłuszona, a na dnie duszy miała jakieś nieokreślne uczucie czegoś niemiłego, dziwnego. Czyżbyśmy szaleli oboje? pytała sama siebie. I ujrzała znowu ten dziwny, obcy uśmiech jego. Zadrgnęła, było to takie przykre. Położyła się, ufając, że uśnie i zapomni. Chciała spać, przecie musiała być silną. Suntarella siadła koło jej łóżka. Było to Caterinie przyjemne. Przypomniała sobie czasy dzieciństwa, gdy staruszka zawsze dopóty baśnie jej opowiadała, póki mała Caterina nie usnęła. I teraz, gdy zmożona znużeniem usypiać zaczęła, przychodziły jej na myśl całe ustępy tych starych opowieści, a między te ułomki baśni wmieszał się nagle poemat monsignora Astucci'ego. Widziała smukłą postać młodzieńczą o smętnem spojrzeniu. — Naczikeias...—zaszeptała... A potem coś mignęło jej w duszy, niby zabobon straszny: — Piłaś łzy jego, jego krew—szeptał jej we wnętrzu głos tajemniczy — jesteś teraz jego, nierozłącznie jego, w życiu i w śmierci, jego na wieki... I usnęła z dziwnym, zagadkowym na twarzy uśmiechem.

Suntarella zapatrzyła się w bladą twarz śpiącej i smutnie potrząsnęła głową.

— Inaczej się to obróciło, niżem myślała—szeptały zwiędłe, drżące jej usta. Potem jęła rozmyślać, czem jest ta ludzka miłość, a gdy ją serce zabolało, chwyciły się suche, kościste jej ręce różańca, nad którem i ona wreszcie usnęła.

Było cicho w domu i na dworze, w pustej kampanii milczał teraz wiatr i nie szumiał deszcz, tylko pies bez schronienia wył gdzieś w oddali, przeciągle, żałośnie, jękliwie — na śmierć — jak powiada zabobon. Na śmierć, która istnieje i nie istnieje, jak czas, i która nieustannie kroczy, podobnie leci jak on.

VIII.

Jana Maryę opanował na drugi dzień zupełny letarg duszny. Nie myślał ani o życiu, ani o śmierci, ani o szczęściu, ani o nieszczęściu. I ciało jego jakby straciło sprężystość, czuł cały swój ciężar, podnieść rękę lub poruszyć głową wydawało mu się wprost niełatwem zadaniem. Wyraz jego twarzy nie był wszakże posępny, a senność, która od czasu do czasu na chwilę go ogarniała, wywoływała mu na policzki lekkie rumieńce, które nawet Caterinę, mimo smutnego przeświadczenia, łudziły. Zdawało jej się, że jest spokojny, a był tylko znużony. Dzień upływał bez obaw; następujący przeszedł w taki sam sposób, i tak minęło pół tygodnia.

Tymczasem na dworze ustały deszcze i wiosna jęła święcić zupełne teraz tryumfy w zielonej, kwieciem okrytej Kampanii; ziemia i niebo były jedną światłością, jednym wielkim symbolem życia, odnoszącego zwycięztwo nad śmiercią. Zdało się, że te złote promienie czyniły cuda i wewnątrz smutnego domu w San Cataldo. Odrętwienie, obojętność opuściły duszę Jana Maryi, oczy jego nabrały znów blasku, a uśmiech powracał w nie i na usta, ilekroć Caterina zjawiła się w pokoju. Zdawało się, że sił przybywa mu z każdą chwilą. Francesco ubierał go co rano i, gdy ociepliło się po chłodzie nocy i wczesnego ranka, wyprowadził go bądź do ogrodu, bądź przed dom, gdzie chory siadał na lekkim, wyplatanym fotelu. Potem przychodziła Caterina z książką, albo z robótką ręczną i rozmawiała, szczebiotała, czytała głośno, albo śpiewała najulubieńsze jego pieśni, jak to dawniej była czyniła. Słuchał i rozkoszował się muzyką jej głosu, przymykał nawpół oczy i zatapiał się w myślach. Przypominał sobie często tę gorączkową, dziką noc, gdy był ją prosił, aby z nim umarła, gdy na nią patrzał tem spojrzeniem żądzy świętokradzkiej, i robił sobie najbardziej gorzkie wyrzuty, i nie pojmował tego nagłego zaskoczenia zmysłów, tego ich wzburzenia w chwili, gdy nigdy nie byłby się tego spodziewał. O, jakąż tajemnicą jest ta ciemna, czarna otchłań, na dnie której namiętności jak spętane leżą szatany... Ach, znieważył był ołtarz swego bóstwa jedynem wprawdzie tylko spojrzeniem, ale pragnął śmierci jako sprawiedliwej kary za ten grzech mimowolny! Śmierci!... Przeraził się—umrzeć znaczyło rozstać się z nią na wieki! Ona zostanie tu pod uśmiechniętem niebem i zapomni go! Nie zapomni go prędko, ale ostatecznie zapomni go przecież, gdy będzie leżał tam w dole pod ziemią, gdzie słońce nie przenika! I otwierał szeroko oczy, i głęboko wdychał powietrze, jak gdyby chcąc się raz jeszcze całą tą światłością, całym tym czarem upoić, zanim zapadnie w mrok, w mrok... Zakrył sobie twarz rękoma

— Przeczuważ ona, co się we mnie dzieje? – pytał sam siebie.

A ona przeczuwała, ale milczała. Nie miała już nadziei i, z sercem krwawiącem do głębi, myślała co chwila:—Boże, Boże! czy on to wie, że musi odejść? Czy zapomniał o tej strasznej nocy, gdy szaleliśmy oboje? Czy pragnie jeszcze, abym poszła z nim razem? Ach, jakże go pocieszać? Jakiemi słowy gotować go do tego, czego uniknąć niepodobna?

A gdy była sama, myślała ustawicznie tylko o śmierci, o śmierci, której dawniej tak się bała, której dawniej nienawidziła. Ostatecznie zaczęła spokojnie w twarz jej spoglądać. Wydobywała teraz co wieczór owe poemata monsignora Astucci'ego i rozmyślała o tych słowach: — Więc jest gdzieś miejsce pewne i bezpieczne — gdzie z ciebie, śmierci już nie idzie trwoga — gdzie nie przeniknie groza twoja nigdy — ani łzy, bóle i męki żywota.. — Zdawało jej się, że w słowach tych wielka tkwi pociecha. A co za szczególny był to przypadek, że wiersze te znalazła onego dnia właśnie, gdy Jan Marya po raz pierwszy do jej domu zawitał! Tegoż samego dnia wpadły jej w ręce owe klejnoty, i list monsignora Astucci'ego, w którym mówił o odszukaniu grobu etruskiego, owego grobu, gdzie spoczywał król bohater i dziewczę, co do którego domyślał się monsignore, że zmarło dobrowolnie z mężem, którego miłowało.. Cóż za przedziwny, zdumiewający był ten przypadek!

— Przypadek? — powtórzyła Caterina i zamyśliła się głęboko.—Umrzeć z tym, którego kochamy! Ach, jakaż słodka to śmierć!—Ten przypadek być może wskazówką!

Wzięła znowu na siebie owe klejnoty, przejrzała się znowu w zwierciedle — i nie czuła teraz żadnej trwogi zabobonnej. Przypomniała sobie również teraz, iż powiedziała była, że Nacziketas powinien był wrócić na świat, gdy śmierć mu zezwalała i dary mu dawała. Iluż mógłby uszczęśliwić, myślała była sobie wówczas. Teraz uśmiechnęła się jeno z tej myśli.

— Wówczas nie kochałam — powiedziała sobie — nie wiedziałam tedy, że po za przedmiotem ukochania świat cały znika, istnieć przestaje. Grzeszne to może, ale tak jest.

Zdejmowała powoli klejnoty.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).
